BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA מפ

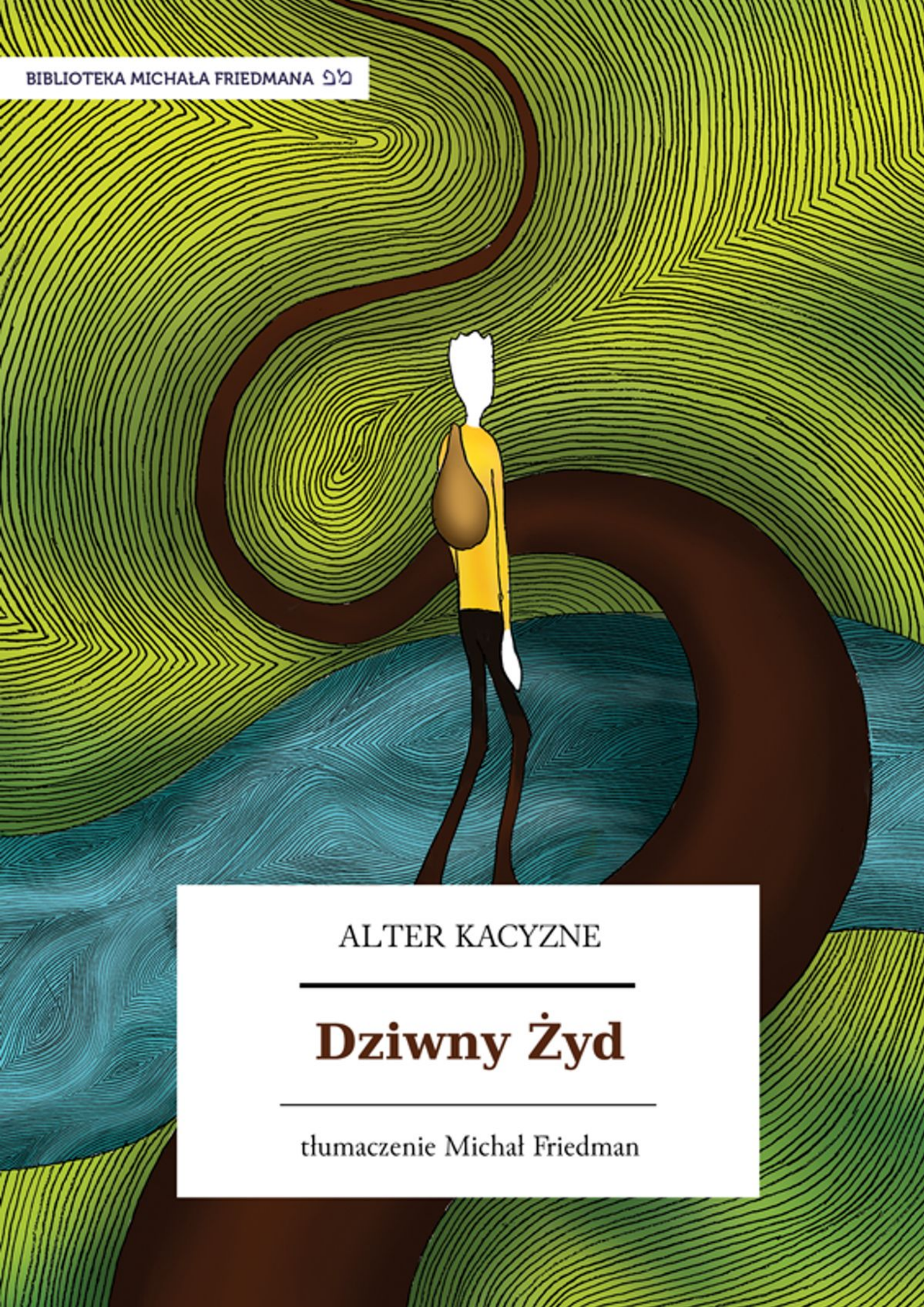

ALTER KACYZNE

Dziwny Żyd

tłumaczenie Michał Friedman

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ALTER KACYZNE

Dziwny Żyd

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

Nad szerokim stawem słońce przedarło się przez poranną mgłę i ukazało swoje uśmiechnięte, promienne, wczesne oblicze. Od nagłego wtargnięcia słońca zadrżała srebrzysta woda. Zafalowała, zaszumiała, po czym znieruchomiała. Gładka powierzchnia stawu wyglądała teraz jak wypolerowana stalowa bryła.

Nieopodal, w gęstym, wysoko pnącym się lesie, wisiały jeszcze na gałęziach strzępki mgły. Na wysokim brzegu rzeki, ścieżką biegnącą ku mostowi szedł młody, bosy szajgec[1] w żołnierskiej czapce na głowie. Szedł, wygrywając na fujarce smutną melodię. Był to pastuch z dworu stryja Berla. Kiedy doszedł do mostu obok młyna wodnego, oczom jego ukazał się niezwykły widok. Przestał grać i w zdumieniu wytrzeszczył oczy na to, co się w rzece działo. Woda w niej kipiała, szumiała i pieniła się; w jej nurtach szamotały się trzy dziwne stworzenia. Toczyły zażarty bój o to, kto kogo utopi. Wydawały przy tym ryki przypominające chwilami rechot.

Wtem ze spienionej wody wyłonił się człowiek. Najpierw ukazała się czarna głowa, potem broda, a w ślad za nią białe ciało pokryte czarnymi plamami. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że są to ślady mułu rzecznego. Po chwili jednak okazało się, że to kępki czarnych włosów rozsiane na całym ciele — na piersiach, ramionach i grzbiecie.

Zwierzę

Brodaty mężczyzna usiłował wyciągnąć z wody dwa niedźwiedzie na łańcuchach. Zwierzęta za żadne skarby nie chciały wyjść z rzeki, ryczały jak zarzynane świnie. Brodacz puścił łańcuchy i złapał niedźwiedzie za łby. Chwycił je za kudły i zaczął ciągnąć do brzegu.

Na widok pana Podlaskiego, zmagającego się z wyhodowanymi przez siebie niedźwiedziami, pastuszek wziął nogi za pas. Podlaski kipiał ze złości na opierające się zwierzęta. Nie przestawał przeklinać na głos:

— Świnie! Sukinsyny!

Prychając i kołysząc się na chwiejnych łapach jak pijani chłopi, niedźwiedzie wylazły jednak na brzeg. Tu Podlaski przywiązał je łańcuchami do wbitego mocno w ziemię pala i nakazał:

— Siedźcie cicho i nie ruszajcie się — dopóki nie wrócę do was z ubraniem. Oba niedźwiadki, dzwoniąc łańcuchami, zaczęły niecierpliwie otrząsać się z wody. Ochlapany wodą Podlaski odskoczył na bok i wciąż klnąc, szybko pomaszerował pod most, gdzie zostawił ubranie. Był obuty w sandały, które włożył przed wejściem do rzeki. Bał się, że niedźwiedzie podepczą mu podczas kąpieli nogi. Miękkie rzemyki sandałów oplatały mu łydki po same kolana. Nagle, nim zdążył się ubrać, na drugim brzegu rzeki pojawiła się tęga, szeroka w biodrach chłopka, która przez złożone w tubę dłonie zawołała gromkim głosem:

— Panie gospodarzu!

Podlaski wylazł spod mostu owinięty w białe prześcieradło. Niedźwiadki nie poznały swego pana w tym przebraniu, groźnie się nastroszyły i zaczęły szarpać pal, do którego były uwiązane. Łańcuchy głośno zadzwoniły. Podlaski spojrzał na chłopkę i zawołał:

— Akulino, czemu ryczysz?

— Pośpiesz się pan, bo ruda Mańka dławi się kartoflem.

— Co takiego? Połknęła cały kartofel?

[1] *szajgec* — pogardliwe określenie nieżydowskiego chłopca. [przypis edytorski]

— Tak!

— Co z ciebie za stworzenie? Ile razy mówiłem, że zanim podasz ziemniaki krowom...

Zorientował się, że nie wolno tracić czasu na gadanie, bo krowa może się tymczasem udusić. O ubraniu się nie mogło więc być mowy. I tak jak stał, owinięty w białe prześcieradło, w sandałach, jednym susem wyskoczył spod mostu i w mig znalazł się na podwórzu. Dziewięciu chłopów krzątało się przy krowie o rozdętym brzuchu. Podtrzymywali ją, żeby nie upadła, zaś młynarz Icyk na klęczkach, sapiąc z wysiłku, próbował masując szyję krowy wyłuskać kartofel. Podlaski odepchnął go na bok. Krowa gasła w oczach. Chwiała się na nogach jakby była pijana w sztok. Podlaski zawołał:

— Chłopcy! Trzymajcie ją. Pchajcie ją na mnie! Prosto na mnie! — Jedną ręką chwycił krowę za jęzor, drugą rękę zaś szybkim, nagłym ruchem wetknął jej do pyska. Energicznie i mozolnie wpychał rękę do gardła, przypominającego wąski rękaw. Krowa usiłowała się wyrwać z rąk trzymających ją chłopów. Miotała się i podrygiwała. Podlaski rozkazującym tonem pouczał chłopów:

— Trzymajcie ją! Mocno trzymajcie! Pchajcie ją na mnie. — Krowa ze spuszczonym ku ziemi łbem stawiała opór i ciągnęła Berla do tyłu.

Wreszcie Berl puścił ją i podszedłszy do chłopa, niejakiego Łukiana, podsunął mu przed nos zakrwawiony kartofel.

— Widzisz? To przez ciebie w korycie znalazł się niepokrojony ziemniak. — I zgrzytając zębami rzucił nieszczęsny kartofel za płot.

— Odprowadź krowę do obory i trzymaj ją tam aż do wieczora. Nie dawaj jej jeść, tylko niech dużo pije. Słyszałeś?

Wytarł rękę o trawę i zarzuciwszy na siebie prześcieradło niczym starożytny brodaty Grek, pomaszerował w kierunku dworu. Zebrany przy moście tłum był pełen uznania dla wyczynu Berla. Nie szczędził mu pochwał za siłę i zręczność. Łukian drapał się po karku i żalił Icykowi-młynarzowi.

— Wolałbym, gdybyś zamiast podsunąć mi przed nos kartofel dał mi w zęby. Czy ja jestem taki głupi? Czy ja już niczego nie rozumiem? Nic innego mi nie pozostaje jak tylko się urżnąć.

Podlaski najpierw poszedł do mostu, gdzie leżało jego ubranie. Tu wybiegł mu naprzeciw wysoki i mocny jak dąb szajgec o białych jak len włosach. Widać było, że targa nim niepokój, że jest czymś zdenerwowany. Biegł jak opętany, żegnał się raz po raz, po czym wskazał na wzgórze i zawołał:

— O Jezu!

Berl natychmiast pojął, w czym rzecz. Musiało się tam stać coś złego. Oto bowiem jego niedźwiadkom znudziło się siedzenie na brzegu rzeki. Zerwały się z łańcucha i wybrały na spacer. Czy aby kogoś nie pożarły?

Natychmiast puścił się biegiem do wzgórza przy hucie. Zebrani tam ludzie szykowali się do ucieczki. W nowym miasteczku przy hucie rozlegały się krzyki i piski. Matki ciągnęły do domu dzieci, które w nocnych koszulach wybiegły na dwór. Ludzie zaczęli zamykać drzwi i okna. Psy szczekały jak szalone.

W otwartych drzwiach huty stał stary Antoni z przygotowaną strzelbą. Chciał w ten sposób nastraszyć niedźwiadki. Już miał oddać strzał w kierunku wzgórza, gdy nagle Podlaski złapał go za rękę:

— Czyś ty zwariował? Zaczekaj!

Spokojnym, miarowym krokiem wszedł na wzgórze i dokładnie przyjrzał się niedźwiadkom. Te nawet nie spojrzały na niego. Nieruchomo wpatrywały się w położoną niżej hutę szkła, gdzie w głębokiej ciemności migotały jak robaczki świętojańskie płomienie ognia. Ciekawe były, jak ludzie robią z ognia butelki.

Podlaski szarpnął łańcuchy, do których przywiązane były niedźwiadki i ryknął na nie tak niesamowitym głosem, że te ze strachu aż się sfajdały. Wtedy gołą pięścią uderzył je po kudłatych łbach i poprowadził do domu. Tym razem niedźwiadki nie stawiały oporu i posłusznie stąpały na swoich krzywych łapach. Widać było, że są skruszone swoim zachowaniem.

Podlaski szedł spokojnie między dwoma niedźwiadkami. Kiedy minął hutę i wszedł do miasteczka, zebrani tam ludzie odprowadzali go wzrokiem pełnym podziwu i szacunku. Rozległy się głosy:

— Ależ to istny diabeł — zawołał szajgec o lnianej czuprynie.

— Diabeł, powiadasz? — wycedził stary Antoni, żując coś bezzębnymi dziąsłami. — Przecież wiadomo, że zaprzedał duszę diabłu. Zapytaj kogo chcesz ze stojących tam Żydów. Poskromić niedźwiedzie to dla niego fraszka. Sprowadził tu urządzenie, które nazywa się elektryka. Co to jest elektryka? Ogień. Myślisz, że to zwykły ogień? Nie! To ogień z piekła rodem. Pali się i nie pali się. Zimny ogień. Jeśli go dotkniesz, koniec z tobą, bracie. Wiadoma rzecz.

Również Żydzi zamieszkali w nowym miasteczku, pracownicy huty, brodaci rzemieślnicy w skórzanych fartuchach, z zakasanymi rękawami, stali przy drzwiach i wymieniali opinie na temat Berla:

— Istny diabeł z tego Żyda.

— On wcale nie jest Żydem.

— A jak on się ubiera?

— Jeśli mówimy o diabłach, to nic dobrego nie może z tego wyniknąć!

Berl tych wypowiedzi nie słyszał. Dotarł już bowiem do domu. Tu doprowadził się do porządku. Wyczesał brodę, założył miękki turecki szlafrok i wszedł do jadalni, żeby zjeść śniadanie.

Gdyby Żydzi z miasteczka mogli go teraz zobaczyć, niechybnie orzekliby, że Berl jest stuprocentowym Żydem. Co więcej, przyrównaliby go do króla Salomona. Przecież ten mądry król także bratał się ze zwierzętami. Umiał nawet mówić w ich języku. Żyd

Na stole w jadalni stał duży, pękaty samowar, z którego dobywały się dźwięki przypominające brzęczenie much uwięzionych w pajęczynie.

Przy stole siedział już przyjaciel Berla, Chaim Lurie. Siedział pochylony nad jakimś dużym czasopismem. Zatopiony w lekturze, nie usłyszał, jak Berl wszedł do jadalni.

— Dzień dobry, Chaimie!

— Kogóż ja widzę? Poganiacza niedźwiedzi we własnej osobie! A co z twoją krową?

— A więc i do ciebie to dotarło! Znasz już najnowsze wieści.

— Akulina, oby była zdrowa, przynosi mi nowiny z osady razem z pierwszą pocztą. — U Chaima Luriego siwe włosy kontrastowały z gładką, młodą twarzą. Zakrawało to na wybryk natury. Jego bródka zaś, wąsy i brwi były czarne jak dawniej, w czasach młodości.

Dla Berla Chaim Lurie był starszym towarzyszem i bratem w wyznawanej ideologii. Był typowym okazem starego narodnika[2] („*Narodnaja Wola*"). Nosił długie włosy i krótko przystrzyżoną bródkę. Lud często nazywał narodników „Chrystusami". Robotnik

Chaim był teraz gościem Berla. Jako oficer związku ziemstw objechał właśnie linię frontu. Miał nawet na sobie oficerski mundur. Do Berla zajechał po to, żeby trochę odpocząć, uporządkować swoje notatki z objazdu i napisać książkę o okropnościach wojny.

Dla wygody gościa Berl poczynił zmiany w swoim rozkładzie dnia. Śniadanie spożywał teraz godzinę później niż zwykle, i to w swoim pokoju jadalnym, a nie z całą hałastrą w dworskiej kantynie.

Akulina przyniosła jemu i gościowi z ogólnej kuchni miskę gotowanych ziemniaków ze śledziami. Chaim Lurie elegancko posmarował bułki masłem, a na deser zostawił sobie ciastko.

— Z czego się śmiejesz, Akulinko? — zapytał Lurie.

Akulina właśnie odkręciła kurek samowara i nalewała do szklanki herbatę. Chwila była nieodpowiednia, bo nagłe pytanie Luriego mogło spowodować, że nie zakręci kurka, a gorąca woda wyleje się na rękę i na stół. Szeroka i płaska jak płatek macy twarz Akuliny jeszcze bardziej rozciągnęła się w uśmiechu. Kobieta, nie zważając na swoje obfite kształty, wybiegła pospiesznie za drzwi, żeby wybuchnąć niepohamowanym śmiechem.

— Ona zawsze tak się zachowuje — oświadczył Lurie.

— Dlaczego ją zawstydzasz, mój ty idealisto?

— Bo jej to sprawia przyjemność, człowieku. Pokaż jej palec, zaraz zacznie się śmiać.

— Oj! Oj! Kurek! Kurek!

Akulina zapomniała zakręcić kurek samowara i gorąca woda zalała obrus.

Lurie na ten widok roześmiał się, zaś Berl tylko się uśmiechnął. Nawet w towarzystwie Śmiech

[2] *narodnik* — działacz ruchu demokratycznego w latach 70.–90. XIX w. głoszący idee powstania chłopskiego i obalenia caratu. [przypis edytorski]

ludzi bliskich nie pozwalał sobie na swobodny śmiech.

Uporał się dość szybko z miską kartofli, po czym napił się herbaty.

— Nie krępuj się — powiedział do Chaima. — Jedz, pij, czytaj i pisz swoją książkę. Rób, bracie, wszystko, na co tylko masz ochotę. Mnie zaś musisz wybaczyć, bo mam kupę roboty. *A propos*, wczoraj zdarzyło mi się usnąć w czasie rozmowy.

— Miałem za sobą cały dzień bieganiny. Jak myślisz, o czym rozmawialiśmy? O tym, co zawsze. O kochanym, bliskim naszemu sercu narodzie żydowskim...

Podlaski przemawiał, stojąc na środku pokoju. Trzymał w ręku cygaro i z uśmiechem wsłuchiwał się we własne słowa.

— Widzisz, Chaimie, ja nawet nie wiem, jak dalece zmieniłeś w ostatnich latach poglądy. Przebyłeś długą drogę. Nie wątpię, że była to kręta droga. Od „eserów"[3] do syjonistów[4]. Od syjonistów do terytorialistów, by wreszcie utkwić pomiędzy poalej-syjonistami[5]. A ja, bracie, osiadłem niczym chłop na roli i zająłem się sadzeniem kartofli i osuszaniem bagien.

— To ważne zajęcie.

— I ja tak myślę, ale przez to zostałem odcięty od wszystkich aktualnych teorii. Wyszedłem, jak to się mówi, z mody. Powinienem był usiąść przy tobie i pogadać, ale, jak widzisz, czasu nie mam.

Chaim Lurie zapalił cygaro. Rozsiadł się wygodnie w miękkim fotelu. Nagle zerwał się na równe nogi. Zapewne dotknęło go jakieś słowo Berla, słowo, z którym nie chciał się zgodzić. Wyglądał jak ktoś, kogo nagle oblano wrzątkiem. Nerwowo potrząsnął siwą czupryną i wypalił:

— Z ciebie jest idealista-praktyk. Być może zostałeś w tyle za teoretykami, ale masz swój własny dom. Tym domem jest twoja praca. Ja to co innego. Nie mam, bracie, domu. Zostałem ze swoimi ideami jak kupiec z niesprzedanym towarem na bazarze. Do kogo mam teraz iść? Z kim mam rozmawiać? Czy ty mnie rozumiesz? Rosyjskie teorie nie przystają do żydowskiego życia. Przez to żyję na dwóch ulicach. W myślach jestem Rosjaninem, w sercu Żydem. Jednego jestem pewien. Naród to jakby żywy organizm człowieka. Ma głowę, serce, żołądek, ręce i nogi... Co do głowy to mamy jej aż zanadto. Właśnie odbyłem podróż do Galicji. Spotkałem się z Żydami. Same głowy. Widziałeś kiedyś takie istoty? Co zaś się tyczy rąk i nóg, to z tym jest u nas krucho. Ręce wychudłe od pracy. A jeśli chodzi o nogi, które mocno stoją na gruncie — z tym jest prawdziwe nieszczęście. My nie mamy nóg. Naród, Głód

— Dopiero teraz zauważyłeś, że nie mamy chłopów?

— Bez tej warstwy zginiemy.

— I ty chcesz ją zapoczątkować?

— A ty nie?

Berl zamilkł. Nie śpieszył się z odpowiedzią. Myśli u niego rodziły się powoli.

Tymczasem Akulina przyniosła pocztę. Berl otworzył koperty i zaczął czytać listy. Wśród korespondencji znalazł się krótki liścik od Izraela i długi list od Idy. Oba o tym samym. Czy osłabiona porodem Dina ma przyjechać z dziećmi do majątku Berla. Grymas niezadowolenia pojawił się na twarzy Berla.

— Co oni wyprawiają? Z igły robią widły, z błahostki — problem. Wsiedliby od razu w pociąg i przyjechali do mnie.

— Aha!

— Chaimie, powiedziałeś coś?

Chaim oderwał się na chwilę od czytania nadeszłych gazet.

— Co? Czy ja coś powiedziałem?

W głowie Berla zaświtała nagle myśl, którą od razu chciał się podzielić z Chaimem:

— Co do problemu utworzenia warstwy chłopskiej w społeczności żydowskiej, mam pewne wątpliwości. Rozumiem, że Grecy musieli mieć niewolników-barbarzyńców, Amerykanie Murzynów, feudałowie rodzimych, swojskich niewolników. Dzisiejszy chłop to Rewolucja, Niewola, Chłop

[3] *eser* — członek rosyjskiej Partii Socjalistów-Rewolucjonistów. [przypis edytorski]

[4] *syjonista* — zwolennik utworzenia państwa Izrael. [przypis edytorski]

[5] *Poalej Syjon* — Żydowska Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza Poalej Syjon był socjalistyczno-syjonistyczną partią działającą w Polsce w latach 1906–1950. [przypis edytorski]

przecież w prostej linii prawnuk owych rodzimych niewolników. Ty zaś chcesz przeprowadzić na Żydach, o których powiadasz, że to naród posiadający tylko głowę, małą operację. Chcesz im odjąć głowę i przyprawić nogi. To nie ma sensu. Realizacja tego ideału skończyłaby się upadkiem Żydów. Raczej powinieneś wskazać narodowi żydowskiemu, jaką część głowy należy mu usunąć. Może należałoby zebrać razem wszystkich Chaimów Luriów i dać im do ręki łopaty? Skądże! Chaimowie Luriowie powinni pisać książki o problemie chłopów. Cały naród żydowski powinien siedzieć przy stole i pisać książki o doniosłości chłopskiego stanu.

— Tu już, bracie, przesadzasz!

— Ani trochę. Przy obecnym stanie techniki rolnictwa, przy obecnym podziale społeczeństwa na klasy, chłop pozostał przecież zwyczajnym chłopskim chłopem.

— Jeśli naród ma dzisiaj wolny wybór, to prędzej skieruje się ku mózgowi niż do pięt.

— Czy aż takim jesteś pesymistą?

— Może nie aż takim, Chaimie. Jedyna moja nadzieja w tym, że koło obróci i naród nie będzie miał wyboru. Będzie musiał zacząć od początku, bez teorii. Na razie poprzestaję na tym. Wieczorem dokończymy rozmowę. Rzecz jasna, jeśli nie zasnę.

Co ten Żyd wygaduje? Co to znaczy nie mieć wyboru? A co z możliwościami? Czy biedaka stać na zakup ziemi? Kto mu ją da za darmo?

Chaim Lurie słowa te wypowiadał w duchu, do siebie, Berla bowiem już w pokoju nie było. Akulina właśnie przyszła posprzątać. Weszła po cichutku, ale deski podłogi skrzypieniem dały znać o jej obecności.

— Dlaczego, Akulinko, się śmiejesz? Bardzo jestem ciekaw.

Słowa te wypowiedział w sposób automatyczny. Akulinę witał zawsze tak samo. I zgodnie ze swoim zwyczajem przeniósł się do pokoiku na górze, żeby kontynuować pisanie o nieszczęściach, jakie spadły na Żydów w wyniku toczącej się wojny.

Strój

Przez okno dostrzegł Berla, który na pobliskim polu rozmawiał właśnie z agronomem w słomkowym kapeluszu. Kilku młodych, ubranych z miejska ludzi pracowało w kucki wśród młodej, świeżej zieleni w polu. Byli to chalucowie, którzy przed wyjazdem do kibucu w Palestynie uczyli się pracy na roli.

W chwilę potem zobaczył szerokie plecy Berla siedzącego w bryczce zaprzężonej w jednego białego konika. Berl w białej koszuli i biały konik wyglądali jakby stanowili całość. Bryczka podążała wąską drogą ku dalekim, niebieskim lasom.

Chaim Lurie z dobrotliwym uśmiechem na twarzy wodził za nią wzrokiem. Był zadowolony ze swego dawnego ucznia. Berl nie poprzestał na starych teoriach. Cały swój odziedziczony majątek wykorzystał do jednego praktycznego celu. Do owocnej, konkretnej pracy. Tam, gdzie się teraz zieleni i czerwieni, tam, gdzie się rozciąga szachownica zielonych pól, było przedtem jedno wielkie bagno. Przy hucie, na wzgórzu, które było puste, wyrosło teraz małe miasteczko, obrosłe nowymi białymi domkami, otoczonymi barwnymi ogródkami. Na dawnym pustkowiu wyrosły słupy z elektrycznymi latarniami. Wszystko to powstało dzięki żydowskiej pracy i żydowskiej energii. Dlaczego więc zawraca mi głowę, że tylko z braku wyboru Żydzi wezmą się za czarną robotę?

Odpowiedź jest prosta. Berl jest nadal idealistą, ale już ma w nosie magnackie muchy. Jeśli wpadnie mu do głowy jakiś magnacki kaprys, zaraz dorabia do niego stosowną teorię.

Z jidysz przełożył

Michał Friedman

Niniejszy fragment stanowi 10. rozdział powieści Altera Kacyzne *Silni i słabi*.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kacyzne-dziwny-zyd

Tekst opracowany na podstawie: Alter Kacyzne, Dziwny Żyd, „Midrasz" nr 3 (59), marzec 2002, s. 52–54, ISSN 1428–121 X.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Natalia Judzińska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-0329-9

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.